

Płomyczek

Rok 27. Nr 11

Pismo dla młodszych dzieci

1. II. 1949



Fot. T. Bukowski

Dzielny budowniczy

Cena 15 zł

BŁĄŻEK BĘDZIE GÓRNIKIEM



Węgielku, tyś wielką
obdarzon mocą,
gdy czarne twe bryły
ogniem się złocą.
Węgielku, tyś wielką
obdarzon siłą.
Bez ciebie zimeczką
źle by nam było.
Dobrywa cię górnik
w trudzie spod ziemi,
byś błyskał w ogniskach
skrami złotymi.

Piosenkę tę śpiewała Błażkowa babcia, po czym odsunęła saganek z grochówką i rozłożyła nad ogniem spracowane dłonie. A Błażus stał w zadumie przed lutową szybką. Na szybkoce, na skraju tajemniczego lasu leżały rzucone niedbale, srebrem wykończone liście paproci. A za oknem szumiał szerokoskrzydły zimowy wichur. I jego to właśnie słuchał Błażek. Uchylił nawet okienko i słuchał. A wichur zaszumiał mu tak: jestem wichur, wszystko, co ciche, obce jest mojej naturze. Mam

ja skrzydła o szerokim zasięgu. Latam na nich to w dole, to w górze.

Błażek z wichrem lubili się wzajemnie. Błażek słuchał z zachwytem wichrowej pieśni, a wichur zauważwszy uchylone okienko przywitał chłopca żelestem:

— Szalenie, szalenie się cieszę, że cię widzę, Błażku. A o czym żeśmy to rozmawiali zeszłym razem?

— Rozmawialiśmy o tym, że ja będę górnikiem — powiedział Błażek w zadumie.

— Szalenie mądre postanowienie — zaszumiał wichur. — Czy wiesz mój Błażku, jaką oszałamiającą wartość ma węgiel?

Sznury szybkich wagonów, szeregi okrętów na szerokich morzach, a huty, a fabryki... Wszystko to bez węgla ani rusz. Szalenie szerokie zastosowanie. Pomyśleć! Do czego potrzebny jest węgiel? Chciałbym wziąć cię na swe szerokie skrzydła, żebyś zobaczył to na własne oczy.

— Babciu, czy mogę polatać z zimowym wichrem? — zapytał Błażek, a staruszka odpowiedziała:

— No dobrze, idź już, tylko uważaj, żeby ci w uszy nie nawiało. I drzwi dobrze zamykaj, bo zawsze mi wichru do izby napuścisz.

Po chwili Błażek był już na ulicy z wichrem. Na szerokim placu palił się w żelaznym koszyczku koks, produkt węglowy. Kilku robotników, pracujących przy naprawie rur wodociagowych, stało teraz koło ognia. Grzali zmarzniete dłonie, tupali nogami dla rozgrzewki, a jeden z nich zanucił:

Pal się, węgłu, pal się dobrze,
robotnikom ręce ogrzej.
Chwali się górnikom, chwali,
że nam węgla nakopali,
hu, ha!

— Hu, ha — powtórzył wicher za robotnikiem i dmuchnął w ogień, a od tego dmuchnięcia koks rozpałił się jeszcze mocniej i ogień wysunąwszy sto czerwonych jęzorów grzał jeszcze lepiej.

— Polecimy dalej — szepnął wicher Błażkowi — widzę tu niedaleko piekarnię.

• Po chwili Błażek, otoczony wichrowymi skrzydłami zaglądał do piekarni. Pałił się tam ogień w wielkim piecu, a co chwila z pieca wyciągały piekarczyki chleby i bułki ułożone na długich, drewnianych łopatkach. Jeden z piekarczyków zajął do pieca, poprzekładał łopatkę z chlebem i zadowolony zawołał:

Ogień płonie, iskry lecą,
rosną, rosna chleby w piecu.

Piec gorący, ogień parzy,
pięknie się nam chleb udarzy.

— Widzisz, i tu nasz węgiel; nie upiekłby się chleb bez niego — szepnął wicher Błażkowi. W tej chwili



doleciał ze stacji kolejowej gwizd dalekich lokomotyw.

— Słyszysz? — zapytał wicher Błażka. — Gwizdzą lokomotywy. Lećmy na stację.

I po chwili na skrzydłach wichru znalazł się Błażek na oddalonej stacji kolejowej. Ruch był tam wielki. Jakaś szkoła wyruszała na dwudniową wycieczkę z nartami do pobliskiej miejscowości górskiej. Złociły się wszystkie narty, wszystkimi kolorami tęczy błyszczały szaliki, nauszniki, swetry i rękawice młodych sportowców. Czerwieniły się buziaki, a z ust młodzieży rwała się wprost wesoła pieśń:

Wielośnieżna sima nasza
na wycieczkę nas zaprasza,
będą góry, będzie śnieg
i na nartach szybki bieg.

— Jedziecie na wycieczkę? — zapytał maszynista któregoś z chłopców. — Czy szkoła was zabiera?

— A tak — odpowiedział chłopiec z uśmiechem. — Nasza klasa wygrała wyścig pracy w nauce i teraz w nagrodę jedziemy na narty.



— Ale żeby nie węgiel, to by pociąg nie ruszył — podszepnął wicher Błażkowi i jakby w odpowiedzi na te wichrowe słowa wychyliła się z lokomotywy spocona, umazana pyłem węglowym twarz palacza kolejowego.

— Widzisz? — szepnął wicher. — I tu znowu nasz węgiel. Pożyteczna jest praca górnika.

— Będę górnikiem, a chciałbym być dobrym górnikiem — powiedział Błażek. — Ale teraz muszę już wracać do babci, bo się na pewno o mnie niepokoi.

Wicher z radością objął chłopca i po chwili przeniósł go do zacisznej

go mieszkanka. A na pożegnanie jeszcze mu zahuczał:

— Gdy będziesz pracował pod ziemią, gdzie bogactwa naturalne drzeją się, rozwijaj skrzydła. Skrzydła pracowitości, skrzydła pomysłowości, skrzydła szybkości.

I zniknął wicher, poleciał gdzieś za miasto, przycichł w czuprynach przydrożnych topoli. A babcia Błażkowa, nalewając wnukowi grochówkę, śpiewała sobie ciesząc się ciepłym płynącym od kominka:

Węgielku, tyś wielką
obdarzon mocą...

Łucyna Krzemieniecka



OD PATYKA DO BUDZIKA

Idzie zegar dniem i nocą — ani chwili nie ustaje. Rano budzi nas do pracy, a wieczorem bajki baję. Bajki?... Co tam! Posłuchajcie: Wczoraj wieczorem — o, dziwo — opo-

wiedział mi mój budzik historię całkiem prawdziwą.

Cichuteńko... szeptu... szeptu...

Pomaleńku... cyku... cyku... Opowiedział mi historię o pradiadku

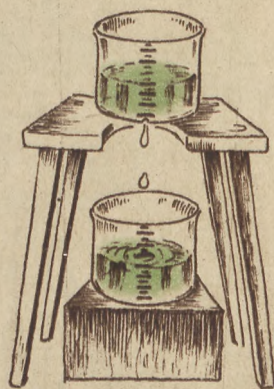
swym — patyku. Dziwna była to opowieść, wspominała dzieje stare, kiedy zwykły, prosty kijek najprawdziwszym był zegarem. A czy do brym? No, nie bardzo. Mógł on „chodzić” tylko w dzień i gdy świeciło jasne słońko, zegar-patyk rzucał cień. Cień najkrótszy był w południe — najdłuższy bywał wieczorem — i właśnie długością cienia określali ludzie porę. Ale nocą albo we dnie, kiedy niebo się zachmurzy, patyk cienia nie mógł rzucać. Zegar ludziom nie mógł służyć. Bardzo był zmienny ten zegarek dzienny.

Cyku... cyku... dalej... dalej — różnie ludzie rozmyślali. Pomyśleli... pogadali — inny zegar zmajstrowali. Bardzo prosty:

Postawili garnek z wodą (na garnku jest miarka), przez otworek woda ścieka do drugiego garnka. Opadła już o kreseczkę, zaraz drugą minie — ciurka woda z garnka w garnek, a czas — płynie... płynie. Przy takim „zegarze” praca jest niemała, wodę wciąż musiano wlewać, by znowu ściekała. A gdy przyszła zima, a gdy chwycił mróz — woda zamarzała, „zegarek” stanął — nie „chodził” — no i już.

Bardzo był niewygodny ten zegar wodny.

Cyku... cyku... dalej... dalej... Ludzie znowu rozmyślali. Pomyśleli, pogadali, inny zegar zmajstrowali: Taki zegareczek — fikołeczek: dwa szklane naczynka rurką łączące — piasek w nich się przesypuje i w tę, i w tę stronę. Kiedy wszystek się przesypie — to widzicie sami —



trzeba „zegar” znów przekreślić „do góry nogami”.

Niedokładny był ten nowy — zegarek piaskowy.

Cyku... cyku... dalej... dalej... Lata, wieki przemijały. Z małych wiosek rosły miasta. Wzrastał han-



del, przemysł wzrastał. W warsztatach pierwsze maszyny ruszają — warczą tryby, dźwięczą pily i młoty stukają. W rzemieślniczych warsztatach pracują robotnicy, a każdy z nich czas swój ceni, a każdy swój czas liczy. Więc już w miastach, na wysokich, murowanych wieżach — wielki zegar mechaniczny godziny odmierza:

Bim, bom — głośnie bije.

Bim, bom — godzina mija.

Bim, bom — czas ucieka.

Bim, bom — czas nie czeka.

...Znowu mijaly wieki i oto co się dzieje:

Wielki zegar wieżowy coraz bar-
[dziej maleje.

Już jest ściennym — pokojowym.

Już niewielkim — kieszonkowym.

Już jest malutkim zegarkiem, z mechanizmem sprężynowym. I bardzo jest dokładny, a choć tak malutki, pokazuje nam godziny, sekundy, minutki. Dopomaga ludziom, każe im czas cenić — do nauki i do pracy nigdy się nie lenić. Chodzi równiutko, rażno sobie cyka — nasz zegarek, praprawnuczek zwykłego patyka.

W. Badalska

DOBRY UCZYNEK

Jurek zapisał się przed trzema tygodniami do harcerzy i był zadowolony. Zbiórki bardzo mu się podobały, a najwięcej musztra oraz wiązanie różnych węzłów: płaskich, żeglarskich i innych. Ale od wczoraj rozpoczęło się smartwienie. Zastępowy powiedział, że harcerz spełnia

codziennie dobry uczynek i wszyscy członkowie zastępu „Wilków“ muszą także każdego dnia zrobić coś dobrego. Muszą bezwzględnie, nie ma żadnego tłumaczenia. Wprawdzie Zygmunt pochwalił się, że będzie codziennie spełniał dwa dobre uczynki, a Tadek dodał, że może

zrobić nawet trzy. Bieda jednak była w tym, że żaden z chłopców nie miał okazji, by dokonać jakiegoś wielkiego, szlachetnego czynu.

Jurek wieczorem długo nie mógł zasnąć, tak myślał o tych dobrych uczynkach. Gdy rano obudził się, słońko zagłądało wesoło do pokoju. Była niedziela. Tatuś nie poszedł do fabryki. Po śniadaniu Jurek nie wybiegł na podwórko bawić się z dziećmi. Położył się na otomanie i myślał, i myślał;

— Gdyby siostra, Hanka, wpadła do rzeki, natychmiast skoczyłbym do wody i ratowałbym ją!

Ale Hanka bawi się lalkami koło szafy. Jurek wzdycha. Hanka podchodzi do brata i prosi:

— Jurku! Nudzi ci się? Chodź, będziemy bawić się w pociąg! Ty będziesz maszynistą, a ja konduktorem. Dobrze?

— Odejdź, jestem zajęty — odburknął Jurek.

Hanka obraziła się i wróciła do swych lalek. Jurek pograżył się w zamyśleniu.

— Gdyby na babcię napadły wilki, wszystkie wystrzelalbym!

A babcia akurat prosi:

— Jurku, przynieś mi z kredensu druty i wełnę.

— Niech sobie babcia sama przyniesie. Nie mam czasu!

— A co ty robisz? — pyta zdziwiona babcia. — Myślę!

Babcia pokiwała głową.

— Ech, gdyby tak Burek wpadł do studni, zaraz wyciągnąłbym go.

Burek, jakby poczuł, że ktoś o nim myśli. Podeszedł do chłopca, wywalil jęzor, kręci ogonem i skamle — prosi pić.

— Idź precz! Nie przeszkadzaj!
— woła ze złością Jurek.

Burek opuścił łeb, podwinął ogon i wlaź pod łóżko.

— Gdyby tak w kuchni zapaliła się firanka, szafa i krzesła, nosiłbym wodę, gasił pożar.

Z kuchni rozlega się głos mamusi:

— Jurku, przynieś mi w dzbanku wody. Nie mogę odejść od kuchni, bo kotlety mi się przypalały.

— Mamusiu, mamusiu, mam tyle zmartwień, a ty mi myśleć nawet nie dajesz!

Koło okna siedzi dziadek, czyta gazetę i spogląda spod okularów na chłopca.

— Jakież ty masz zmartwienia? — pyta dziadek.

— Muszę zrobić dobry uczynek. W harcerstwie są takie zawody. Za każdy dobry uczynek mają stawiać punkty. A ja nie mogę wymyślić żadnego! Pomóż mi, dziadziuniu!

Dziadek uśmiecha się.

— Miałeś już wiele okazji!

Jurek otworzył szeroko oczy.

— Jak to?

— Tak! Gdybyś miał dobre serce, spotkałbyś okazję do dobrych uczynków na każdym kroku. Mogłeś przecież pobawić się z Hanką, przynieść babci robótkę, Burkowi dać pić, mamusi przynieść wody. Policzył! Miałeś okazję spełnić cztery dobre uczynki. Czy tak?

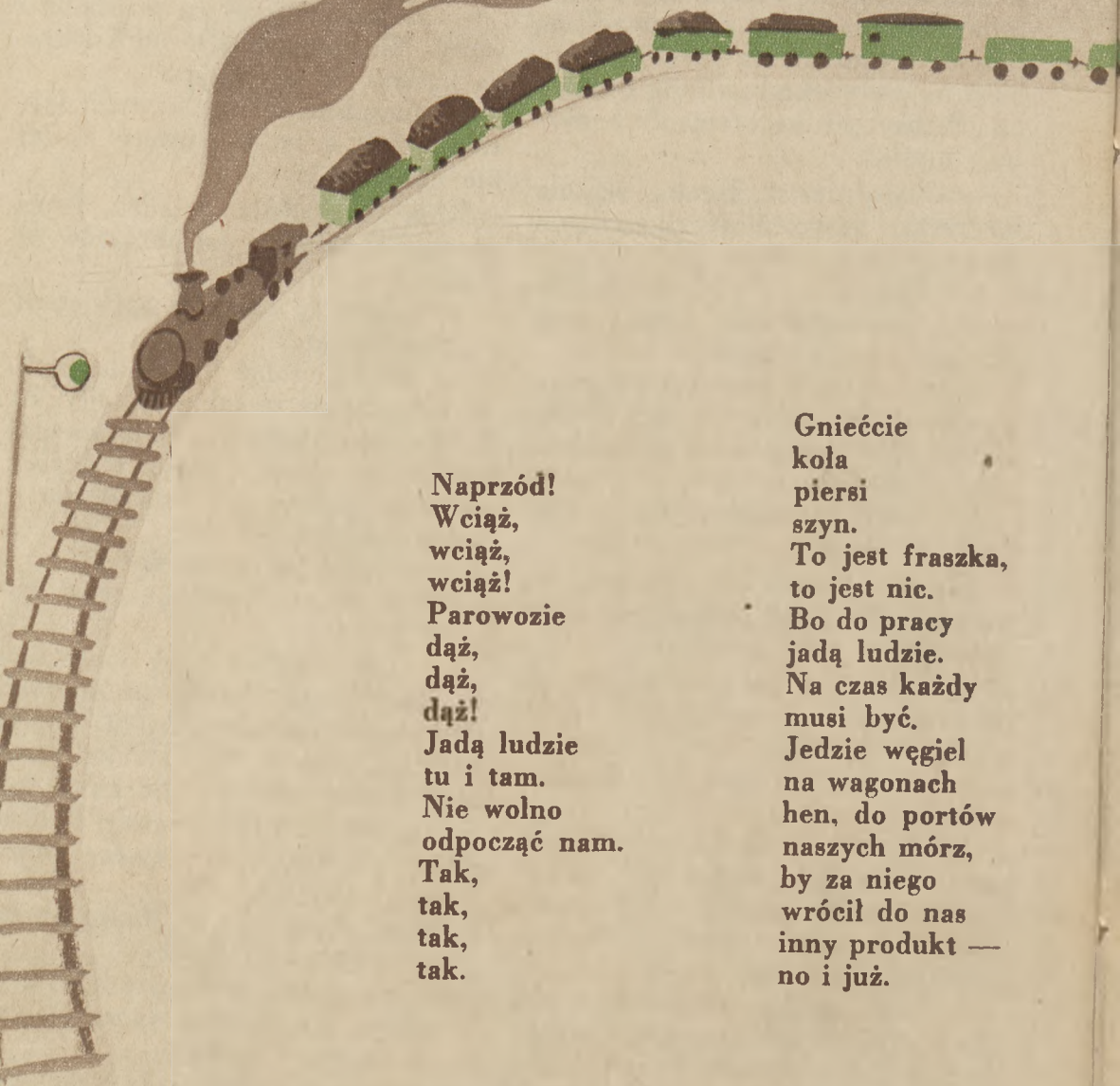
Jurek zamyślił się. Podeszedł do Hanksi i powiedział cicho:

— Haneczko, będziemy bawić się w szkołę. Ty będziesz nauczycielką, a ja uczniem. Chcesz?

— Chcę! — odpowiada z zachwytem Hania.

W. Zen.

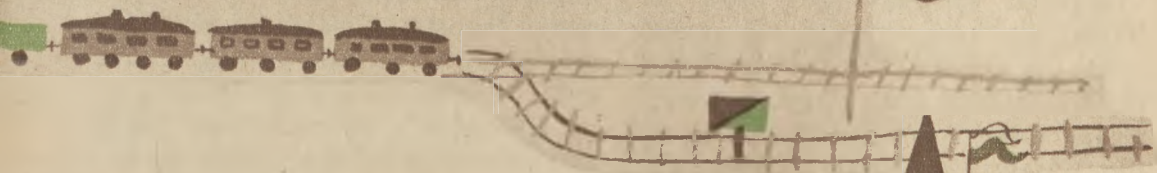
PIEŚŃ KOLEJ



Naprzód!
Wciąż,
wciąż,
wciąż!
Parowozie
dąż,
dąż,
dąż!
Jadą ludzie
tu i tam.
Nie wolno
odpocząć nam.
Tak,
tak,
tak,
tak.

Gniećcie
koła
piersi
szyn.
To jest fraszka,
to jest nic.
Bo do pracy
jadą ludzie.
Na czas każdy
musi być.
Jedzie węgiel
na wagonach
hen, do portów
naszych mórz,
by za niego
wrócił do nas
inny produkt —
no i już.

WYCH SZYN



Dudnią koła
bez ustanku.
Na zwrotnicach
słyszać zgrzyt.
Naprzód,
naprzód!
Dalej,
dalej!
W naszej pracy
dobrobyt.
Jedzie pociąg,
mknie po szynach.
Tu w dół,
tam się w górę
wspina.
Czasem wjeżdża
w ciemny
las.
Dudnią koła.
Raz, dwa,
raz.

Naprzód,
naprzód!
Dalej,
dalej!
Słyszać pieśń
stalowych
szyn.
Nie wystarczą
myśli szczere.
Dziś potrzebne:
praca,
czyn.



Włodzimierz Domeradski

PRZYGODY DZIECI Z JASNEJ WODY

11)

(Ciąg dalszy)

- Aha! to było tak...
- A dlaczego wujek pyta?
- Nic, tak sobie, nic takiego...
nic...

Wladek spojrzał spod oka na Prota, ale o nic więcej nie pytał, wziął drewniany wózek, który wczoraj wieczorem przy pomocy wuja Prota zmajstrował ze starych desek dla Wiselki, i wyszedł z szopy.

U młynarzów na samym środku izby wisiał podłużny kosz wikliny, wysłany poduszką, a w nim fikała zawzięcie rączkami i nóżkami tłustymi jak wałeczki, Wiselka, pociągając gwałtownymi ruchami za sznurek z uwiązaną grzechotką i gruchając do niej:

— A gi!... A gi!... A giil!...

Matuska poszła właśnie odnieść uprzedzoną wełnę, a dziecko zostawiła młynarzowej.

— Nie rozkopuj się — bo zmarzniesz, ty brzdącu!... — mówiła do małej Jagusia, owijając jej nóżki flanelką, ale to nic nie pomagało, flanelka dwoma dziarskimi kopnięciami zjeżdżała w dół, a różowe piętki znowu zwycięsko fikały nad głową...

— Co za utrapiony bachor! — wołała z oburzeniem Agnieszka, całując delikatne, jak płatki polnej róży, piętuchny Wiselki.

Pod tą koszykową kołyską leżał, oparłszy pysk na przednich łapach, Wierny i niby drzemał jednym okiem, ale drugim czujnie i trochę nieufnie wodził po obcej izbie.

W chwili, kiedy wszedł Wladek i zbliżył się do kołyski — Wierny uniósł się na sztywnych nogach ze zjeżonym grzbietem i głucho zawarczał.

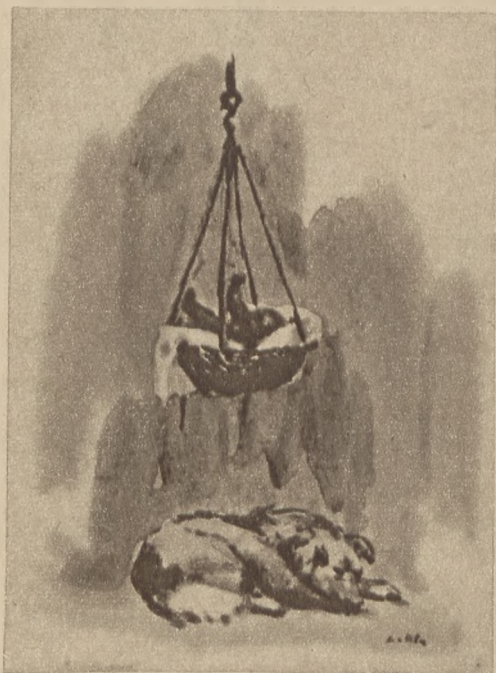
— Warrrrra... ci się zbliżać do dziecka!... Warrrrra!...

Ale Jagusia tupnęła na niego nogą.

— Cicho, Wierny! Na kogo warczysz?... Na tych, co cię ratowali?!... Szkaradny pies!

Wierny zawstydzony zamachał pojednawczo ogonem i położył się na swoje miejsce, a Ciapiek dopadł do niego i zaczął tarmosić, charcząc zawzięcie, jego włochate uszy.

— Oo! ciociu, niech ciocia zobaczy, jaki Wladek wózek dla Wiselki zmajstrował — zawołała Agnieszka.



— Ho! ho! będziemy mieli w czym małą wozic!

— I spać będzie Wiselka na dwo-
rze w tym wózku, prawda ciociu?
bo to zdrowo dla dziecka, no nie?...

— Ale jaka ta Wiselka pyzata się
robi! — śmiał się Wladek, przy-
glądając się malej.

Wszystko, co dotyczyło Wiselki,
było dla nich ciekawe i ważne, cho-
ciaż żadne inne niemowlę nic ich
nie obchodziło.

Ta ocalona przez nich mała była
ich własna — tak, jak Ciapek, kró-
liki i gołębie.

Jagusia wyścielała wózek i ukła-
dała w nim Wiselkę.

— Jutro Palmowa Niedziela, za-
bierzcie małą w wózek i przywieź-
cie kotek wierzbowych na palmy!

To był wspaniały pomysł. Wladek
skoczył tylko powiedzieć w domu,
że wybiera się z Jagusią, Wiselką
i Ryśkiem po kotki wierzbowe na
palmy, i cały pochód ruszył w stronę
grobli.

— A weźcie aby koziki! przy-
pomniała młynarzowa. Ale przy-
pomnienie było zbyteczne, Wladek ze
swoim kozikiem z jarmarku nie roz-
stawał się nigdy, nawet w czasie snu
miał go pod poduszką.

Chłopcy ciągnęli wózek za dysze-
lek, w wózku podskakiwała, kiedy
koła trafiały na kamienie, owinięta
chustkami bałda, a z bałdy wyglą-
dały Wiselkowe okrągłe oczki i no-
sek jak kulka. Obok wózka kroczył
Wierny, obskakiwany zaczepnie
i pociągany za ogon przez Ciapka,
a za wózkiem szła Jagusia, upomi-
nając co chwila chłopców.

— Uwaga, omijajcie kamienie!
Wolniej! Dziecko się strzęsie!

Słońce śmiało się z nieba. Nad
rowem bujały pierwsze motyle ko-
loru słońca, a porozwieszane na nie-
widzialnych nitkach skowronki
ośpiewywały pola dobrą nowiną, że
już wiosna.

Wladek uciał swoim kozikiem
zieloną gałązkę z przydrożnej wierz-
biny i zaczął ją klepać na fujarkę.

Ryś szedł zamyślony, jakby nie
widział tego, co się wkoło niego
dzieje. Przed tygodniem został on
wybrany na walnym zebraniu wój-
tem samorządu klasowego.

Był to wielki zaszczyt i wyróżnie-
nie dla chłopca, który zjawił się tu
z obcych stron, zaledwie przed paru
tygodniami — nieznany nikomu.

Ryś koleżeńskim stosunkiem, roz-
wągą, sprawiedliwym sądem o każ-
dej sprawie, zaradnością i dokład-
nością w robocie — zjednał sobie
kolegów i teraz nieoczekiwanie jego
właśnie obrano wójtem.

Ryś poważnie wziął tę sprawę do
serca. Ma więc o czym myśleć —
pracy do wykonania na terenie kla-
sy — moc!

— Wiesz co, zwrócił się nagle do
Władka, który próbował właśnie po-
fiukiwać na swojej fujareczce,
wiesz, musimy koniecznie założyć
porządną bibliotekę szkolną. Nie
możemy czytać samych tylko „Pło-
myczków“. Musimy mieć wszystkie
najładniejsze książki?

— Fiuu! fiuuuu! fiuu!... zagwiz-
dał Wladek na fujarce. Teraz, kiedy
wiosna idzie — myśleć o książkach?

— A właśnie, jak się teraz po-
myśli, to na jesieni będą książki go-
towe do czytania!...

— Pomyśleć można, panie wój-

cie, czemu nie? Ale najważniejsza, to forsa... Skąd ją wziąć?...

— Właśnie o to chodzi — trzeba jakoś zdobyć...

Władek klepał dalej swoją fujarkę.

— Może jakie przedstawienie urządzić? wtrąciła Jagusia. Napiszemy do „Płomyczka“ list — on nam najlepiej poradzi.

— Ale, ale, Władek, przypomniał sobie Ryś, co to za list dostał wuj Prot? Listonosz mówił, że w twojej sprawie.

— Nie wiem nic o żadnym liście! Ale w tej chwili przemknęła mu przez głowę myśl o dziwnym zapytaniu wuja Prota. Nigdy dotąd o żadnego „wuja“, ani „stryja“ się nie dopytywał.

Wtem na szosie ukazało się auto, podjechało do skrzyżowania dróg



i stanęło, szofer wychylił przez okno głowę i rozglądał się, szukając właściwej drogi.

Chłopcy przyśpieszyli kroku, a po chwili zaczęli biec.

— Stójcie! stójcie! dziecko roztrzęsiecie! wołała za nimi Agnieszka.

— To ty powieź wózek! rzucili jej dyszelek, a sami pobiegli do auta.

(dalszy ciąg nastąpi)

Maria Kownacka

BASŃ O SZKLANEJ GÓRZE

1)

— Był sobie raz, żył sobie raz Czarodziej.

Nie — łaskawca, dobrodziej, ale złośnik, filut, kpiarz.

Nos krogulczy,
końska twarz,
nogi — patyki,
głos — pawia,
wzrok dziki,
garb z tyłu,
garb z przodu.
Czupryna?

Od młodu

miał trzy włoski
w cztery rzędy.

A no, tędy i owędy
jeździ po świecie
w złotej karecie:
szuka panny jak kwiecie.
Chce się żenić,
więc w konkury.
A co zajędzie do której,
nie chce go tam
... i pies bury.

Zeżlił się:

— Nie, to nie!
Wrócił do dom,
zamknął się.

kłzek przez dźwierzę:
— Nie ma mnie.

Troje dźwierzy,
spustów trzy,
za nimi Czarodziej zły
warzy czary
nie do wiary.
Ma on w sobie złości dość!
Wre i kipi sama złość!
A co w złości zamyśli,
to wykona najciślej.

Pewnego razu pewna królewna
o bielusińskich rękach
siedziała sama w swym alkierzyku
z igielką przy krosienkach.
Wtem, co to? Drzwi się otwarły
z trzaskiem.
smok wpółza do alkierza!
Królewna w trwodze upuszcza igłę.
Któż nie zląkłby się zwierza?

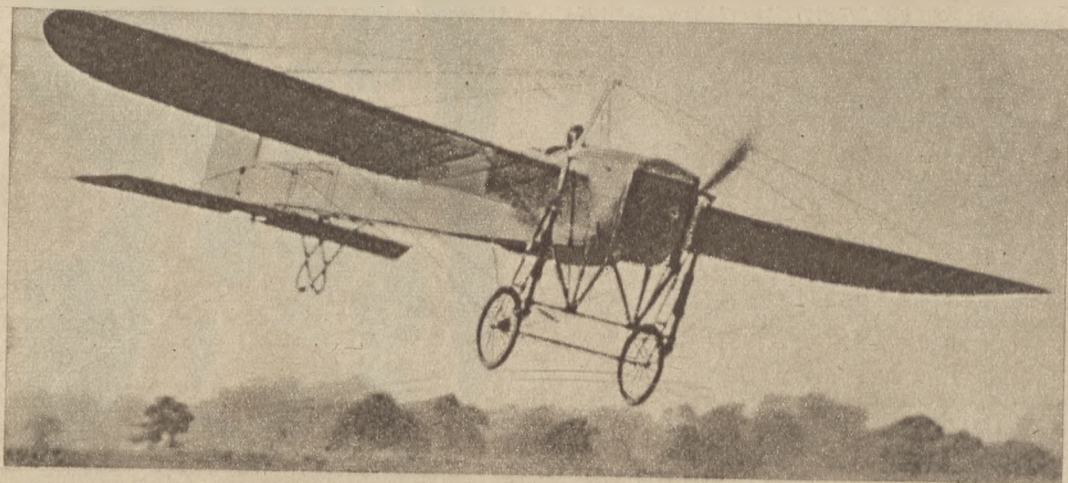
Z paszczy iskrami, dymem i siarką
zionął smoczysko.
Chwycił królewnę w łapska, jak
swoją,
i — znikło wszystko!

(dalszy ciąg nastąpi)

Ewa Szelburg-Zarembina

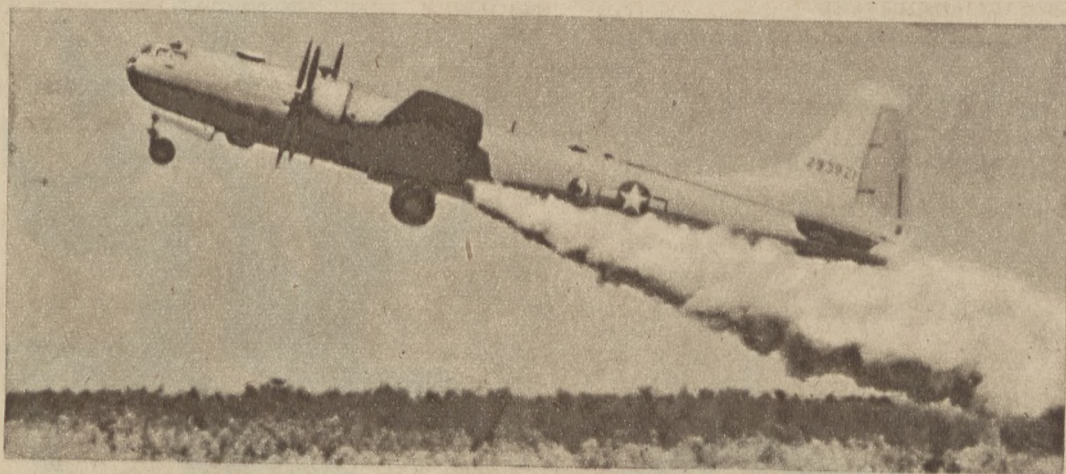


A to ciekawe...



Tak wyglądały samoloty przed czterdziestu laty. Mogły one zabierać na pokład nie więcej niż dwu pasażerów, a rozwijały w powietrzu „zawrotną”, jak się wtedy ludziom zda-

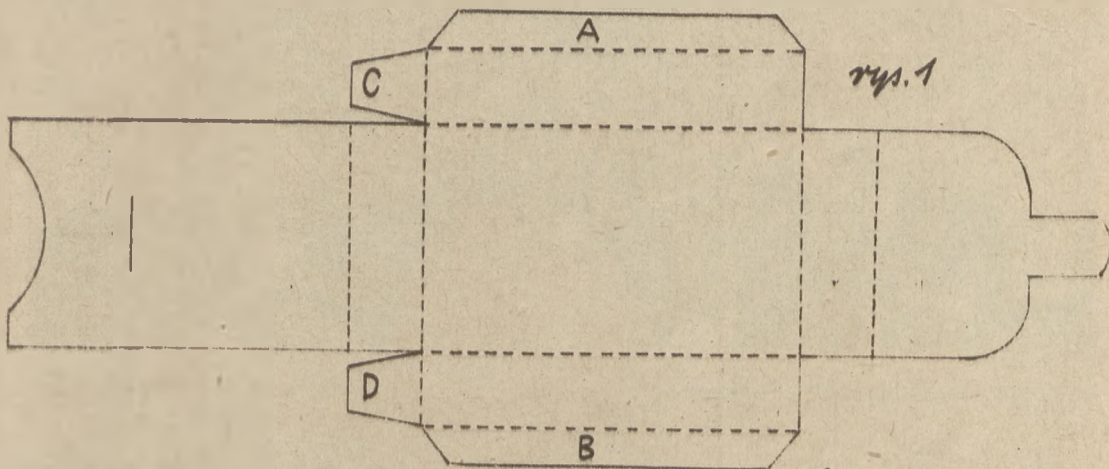
wało, szybkość około 70 kilometrów na godzinę. Trzeba było nie lada śmiałka, który odważyłby się dosiąść takiej latającej maszyny.



A dzisiaj? Nowoczesny samolot komunikacyjny zabiera na pokład kilkudziesięciu pasażerów. Poruszany tak zwanymi silnikami odrzutowymi leci z szybkością ponad 1000

kilometrów na godzinę, a więc prędzej niż biegnie głos. A ludzie już nie boją się latających potworów. Na pewno i wy nie baliście się dosiąść takiego samolotu. Prawda?

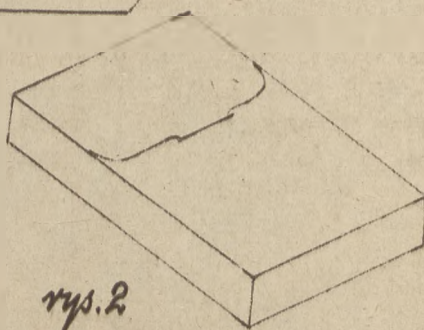
Robimy sami



PIÓRNIOZEK DO STALÓWEK

Przenieście rys. 1 na matową stronę kartonu.

Wytnijcie i zróbcie załamania do siebie wzdłuż linii przerywanej. Części A, B, C, D posmarujcie klejem po glansowanej stronie i sklejcie wuwajac części c i d do wewnątrz piórniczka.



Maria Patzerowa

WARUNKI PRENUMERATY



Cena pojedynczego egzemplarza	zł 18,—
w prenumeracie miesięcznej (3 numery)	zł 27,—
za okres od 1. I. 49 do 31. III. 49	zł 75,—
rocznie	zł 250,—

Szkoły przy prenumeracie zbiorowej otrzymują na każde zaprenumerowane 10 egzemplarzy jeden egzemplarz bezpłatnie.

Prenumeratorzy korzystają ze specjalnych ulg przy zakupie wydawnictw Inst. Wyd. „Nasza Księgarnia”. Należność za prenumeratę wpłacać można na konto w P. K. O. nr V-522.

ADRES ADMINISTRACJI: POZNAŃ, UL. MATEJKI 68.

ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

Redaktor: STANISŁAW ALEKSANDRZAK. Kierownik artystyczny: BOHDAN BOCIANOWSKI

Wydawca: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”.

Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.



Fot. „Film Polski”

Na Kongresie Zjednoczeniowym Polskich Partii Robotniczych
mała dziewczynka ze Śląska deklamowała pięknie rewolucyjne wiersze
Majakowskiego.